

C.S. LEWIS

OPOWIEŚCI
Z
NARNII

PODRÓŻ
„WĘDROWCA DO ŚWITU”

Ilustrowała Pauline Baynes

*

Przełożył Andrzej Polkowski



MEDIA RODZINA

Obraz w sypialni

BYŁ RAZ PEWIEN CHŁOPIEC, który nazywał się Eustachy Klarencjusz Scrubb, i trzeba powiedzieć, że raczej na to zasługiwał. Rodzice mówili na niego „Eustachy Klarencjusz”, a nauczyciele „Scrubb”. Trudno mi powiedzieć, jak go nazywali przyjaciele, ponieważ takich nie miał. Kiedy zwracał się do matki lub ojca, nie mówił „matko” lub „ojcze”, ale „Haroldzie” i „Alberto”. Byli to ludzie bardzo nowoczesni i postępowi. Nie jadali mięsa, nie palili tytoniu i nie pili alkoholu, nosili też specjalną, higieniczną bieliznę. W ich domu było bardzo mało mebli, na łóżkach niewiele pościeli, a okna były zawsze otwarte.

Eustachy Klarencjusz lubił zwierzęta, zwłaszcza żuki, jeśli były martwe i przybite szpilkami do kartonu. Lubiał książki, jeśli tylko były pełne tak zwanych informacji oraz zdjęć nowoczesnych zbiorników na zboże albo tłustych, zagranicznych dzieci uczących się we wzorcowych szkołach.

Eustachy Klarencjusz nie lubił swoich kuzynów: Piotra, Zuzanny, Edmunda i Łucji Pevensie, ucieszył się jednak na wieść o przyjeździe Edmunda i Łucji. W głębi serca lubił bowiem przewodzić i pastwić się

nad innymi, a chociaż był tylko małym, słabowitym chłopcem, który nie dałby rady nawet Łucji – nie mówiąc już o Edmundzie – wiedział, że jest wiele sposobów dokuczenia ludziom, jeśli się jest w swoim własnym domu, a oni są tylko gośćmi.

Edmund i Łucja wcale nie chcieli przyjeżdżać do wuja Harolda i ciotki Alberty. Nie mieli jednak wyboru. Tego roku ojciec jechał na szesnaście tygodni do



Ameryki. Zaproszono go tam do wygłoszenia cyklu letnich wykładów. Matka zgodziła się jechać razem z nim, jako że od dziesięciu lat nie miała prawdziwych wakacji. Piotr przygotowywał się do trudnego egzaminu i postanowiono, że spędzi lato u starego profesora Kirke, w którego domu czwórka dzieci przeżyła kiedyś – jeszcze w czasie wojny – cudowne przygody. Gdyby Profesor miał wciąż ten wielki, stary dom, na pewno by zaprosił do siebie całą czwórkę. Ale tak się stało, że Profesor nie był już teraz tak zamożny i mieszkał w małym domku, w którym wszyscy by się nie pomie-

ścili. Rodzice nie mogli sobie też pozwolić na zabranie całej czwórki do Ameryki. Pojechała tylko Zuzanna, która była ulubienicą rodziców, choć nie najlepiej się uczyła (była jednak bardzo dojrzała jak na swój wiek). Matka uznała, że „Zuzanna bardziej skorzysta z wyjazdu niż młodsze dzieci”. Edmund i Łucja starali się nie zazdrościć siostrze, ale perspektywa spędzenia wakacji u wujostwa wydawała się im bardzo ponura. „A dla mnie to będzie jeszcze gorsze niż dla ciebie – mówił Edmund do Łucji – bo ty przynajmniej będziesz miała swój pokój, a ja będę musiał spać z tym królem wszystkich parszywców, Eustachym”.

Wszystko zaczęło się pewnego popołudnia. Byli już w domu wujostwa i zdołali wykraść kilka minut tylko dla siebie. Rozmawiali – rzecz jasna – o Narnii, o ich własnej, tajemnej krainie. Myślę, że większość z nas ma taką swoją tajemną krainę, ale dla większości z nas istnieje ona tylko w wyobraźni. Edmund i Łucja byli pod tym względem szczęśliwsi, ponieważ ich tajemna kraina istniała naprawdę. Odwiedzili ją już dwukrotnie i nie była to wcale zabawa lub sen, lecz najprawdziwsza rzeczywistość. Oczywiście dostali się tam dzięki Czarom, bo tylko dzięki Czarom można się dostać do Narnii. A kiedy Narnię opuszczali, obiecano im, że pewnego dnia do niej powrócą. Możecie więc sobie wyobrazić, że gdy tylko byli sami, rozmawiali o tym wciąż i wciąż.

Siedzieli na brzegu łóżka w sypialni Łucji i patrzyli na obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Był to jedy-ny obraz w tym domu, który im się podobał. Nato-

miast ciotce Albercie nie podobał się wcale (i dlatego powiesiła go w małym, zwykle nie używanym pokoju na piętrze), ale ponieważ otrzymała go w prezencie ślubnym od kogoś, komu nie chciała zrobić przykrości, nie mogła go wyrzucić.

Na obrazie namalowany był okręt: żaglowiec płynący niemal wprost na patrzącego. Pozłacany dziób miał kształt głowy smoka z szeroko otwartą paszczą. Okręt miał tylko jeden maszt i jeden wielki prostokątny żagiel barwy czystej purpury. Zielone burty zwieńczone były na przodzie złotymi skrzydłami smoka. Dziób zawisł właśnie nad jedną z granatowych fal, której szczyt załamywał się i opadał pienistą kaskadą ku patrzącemu. Widać było, że okręt, pochylony lekko na lewą burtę, płynie chyżo naprzód, gnany silnym wiatrem. (Przy okazji, jeśli macie rzeczywiście zamiar przeczytać tę książkę i jeśli jeszcze tego nie wiecie, to zapamiętajcie, że lewa strona okrętu – gdy patrzy się ku dziobowi – nazywa się bakburta, a prawa sterburta). Z tej właśnie strony – od bakburty – padały nań promienie słońca, a woda mieniła się zielenią i purpurą, z drugiej natomiast, ocienionej burtą i żaglem, była granatowa.

– Sam już nie wiem – odezwał się Edmund – czy nie jest jeszcze gorzej PATRZYĆ na okręt z Narnii, kiedy nie można się tam dostać...

– Nawet samo patrzenie jest lepsze niż nic – odpowiedziała Łucja. – Jest tak bardzo narnijski!

– A wy wciąż się bawicie w waszą starą zabawę? – przerwał im nagle Eustachy Klarencjusz, który podsłuchiwał pod drzwiami, a teraz wszedł do pokoju, szcze-

rząc zęby w grymasie, który miał oznaczać uśmiech. W zeszłym roku, kiedy odwiedził kuzynów, udało mu się podsłuchać, jak rozmawiali o Narnii, i odtąd bardzo lubił kpić sobie z tego. Był oczywiście święcie przekonany, że sami to wszystko wymyślili, a ponieważ był za głupi, by też coś wymyślić, bardzo go to drażniło.

– Nikt cię tu nie prosił – powiedział szorstko Edmund.

– Próbuję właśnie ułożyć limeryk – rzekł Eustachy.
– Coś w tym rodzaju:

*Pewne dzieci bawiące się w Narnię
Coraz większy i większy bzik ogarniał...*

– Po pierwsze, NARNIĘ i OGARNIAŁ się nie rymuje – zauważyła Łucja.

– To jest asonans – odrzekł Eustachy.

– Nie pytaj go, co to błazeńskie ple-ple znaczy – powiedział Edmund. – Wyłazi ze skóry, żeby tylko go o to zapytać. Nic nie mów, może sobie pójdzie.

Po takim przyjęciu prawie każdy chłopiec albo by sobie poszedł, albo próbował w jakiś sposób się odciąć. Ale Eustachy nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Pochodził trochę po pokoju, szczerząc wciąż zęby, a po jakimś czasie znów się odezwał:

– Podoba się wam ten obraz?

– Na litość boską, Łusiu, nie odpowiadaj, bo zacznie mówić o Sztuce i tak dalej – wtrącił szybko Edmund, lecz Łucja, która była bardzo prostolinijna, odpowiedziała:

– Tak, mnie się podoba. Bardzo mi się podoba.
– Straszny kicz – powiedział Eustachy.
– Jak stąd wyjdiesz, nie będziesz musiał na niego patrzeć – rzekł Edmund.

– A dlaczego ci się podoba? – zapytał Eustachy Łucję.

– Przede wszystkim dlatego, że okręt wygląda tak, jakby rzeczywiście płynął. A woda wygląda, jakby rzeczywiście była mokra. A fale – jakby naprawdę wznosiły się i opadały.

Naturalnie Eustachy miał na to mnóstwo odpowiedzi, ale nie powiedział nic, gdyż właśnie w tym momencie spojrzał na fale i zauważył, że rzeczywiście wyglądają tak, jakby się naprawdę wznosiły i opadały. Tylko raz w życiu płynął statkiem (i to zaledwie na wyspę Wight) i cierpiał wówczas okropnie z powodu choroby morskiej. Kiedy się przyglądał falom na obrazie, zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się (nieco zielony na twarzy), potem spróbował spojrzeć raz jeszcze. I wtedy nie tylko on, ale również Edmund i Łucja zaczęli wpatrywać się w obraz z szeroko otwartymi ustami.

W to, co zobaczyli, trudno uwierzyć, kiedy się o tym czyta, ale prawie tak samo trudno było w to uwierzyć, kiedy się to widziało. Obraz ożył. Nie przypominało to wcale kina: kolory były zbyt prawdziwe i czyste, czuło się też, że wszystko to dzieje się na zewnątrz. Dziób okrętu opadł ciężko w wodę, a potem wznosił się, wzbijając w powietrze masę pianistych bryzgów. Fala przebiegła wzdłuż burt i dźwignęła rufę tak wysoko, że po raz pierwszy ukazał się na chwilę pokład, a po-

tem znikł, gdy dziób napotkał następną falę. W tej samej chwili leżący obok Edmunda zeszyt zafurkotał, uniósł się, poszybował w powietrzu i pacnął w ścianę. Łucja poczuła, że włosy zawirowały jej wokół twarzy, jakby nagle powiał silny wiatr. I to był wiatr – wiatr wiejący ku nim z obrazu. I nagle z wiatrem przyplęły do nich dźwięki: chlust przewalających się fal, łomotanie wody w boki okrętu, trzeszczenie burt, a ponad tym wszystkim potężny, nieustający ryk wiatru i wody. Lecz dopiero zapach – mocny, słony zapach – przekonał Łucję, że to nie sen.

– Przestańcie! – rozległ się skrzekliwy, pełen strachu i złości głos Eustachego. – To jakieś wasze głupie sztuczki! Przestańcie! Bo powiem wszystko Albercie... Aauuuuu!...

Edmund i Łucja byli bardziej oswojeni z dziwnymi przygodami, ale dokładnie w tej samej chwili, gdy Eustachy krzyknął „Aauuuuu!”, i oni wrzasnęli „Aauuuuu!”, bo oto wielki, zimny i słony bałwan chlusnął nagle z ram obrazu, pozbawiając ich tchu. Byli przemoczeni do suchej nitki.

– Rozwalę to paskudztwo! – zawołał Eustachy.

W tej samej chwili zaczęło się dziać wiele rzeczy naraz. Eustachy ruszył w kierunku obrazu, a Edmund, który wiedział coś niecoś o Czarach, skoczył za nim, krzycząc, aby nie był głupi i miał się na baczności. Łucja złapała go za rękę z drugiej strony i została pociągnięta do przodu. Jednocześnie albo obraz nagle urósł, albo też oni stali się mniejsi, dość że kiedy Eustachy podskoczył, próbując zerwać go ze ściany, znalazł się



na ramie; przed nim nie było szyby, lecz prawdziwe morze, a wiatr i fale uderzały wściekle w ramię, jakby to była przybrzeżna skała. Eustachy zupełnie stracił głowę i złapał się kurczowo kuzynów, którzy wskoczyli na ramię obok niego. Rozległy się krzyki i zaczęła się lekka szamotanina. I właśnie wtedy, gdy wszystkim się zdawało, że złapali już równowagę, wyrósł przed nimi

wielki, granatowy bałwan, zwałił ich z nóg i pociągnął prosto w morze. Rozpaczliwy krzyk Eustachego zamarł nagle, kiedy woda dostała mu się do ust.

Łucja dziękowała Bogu, że w ostatnim letnim semestrze zrobiła znaczne postępy w pływaniu. Co prawda, lepiej by sobie radziła, gdyby poruszała rękami trochę wolniej, a także gdyby woda nie okazała się tak przeźliwie zimna, ale i tak utrzymywała się jakoś na powierzchni. Szybko zrzuciła buty, jak powinien zrobić każdy, kto wpadnie w ubraniu do głębokiej wody. Pamiętała nawet o tym, aby mieć zamknięte usta i otwarte oczy. Znajdowali się wciąż blisko okrętu, zobaczyła piętrzącą się nad nią zieloną burtę i ludzi na pokładzie pokazujących ją sobie palcami. A potem, jak można się było spodziewać, Eustachy w panice uchwycił się jej kurczowo i woda przykryła im głowy.

Kiedy się wynurzyli, Łucja zobaczyła białą postać skaczącą z pokładu do morza. Edmund był teraz blisko nich i – przebierając szybko nogami w wodzie – zdołał pochwycić ręce wyjącego dziko Eustachego. A potem ktoś inny, czyja twarz była jej dziwnie znajoma, podtrzymał ją z drugiej strony. Na pokładzie zabrzmiały okrzyki, wiele głów pojawiło się nad balustradą, rzucono liny. Edmund i ów obcy pływak opasali ją liną. Nastąpiła długa chwila wyczekiwania, podczas której twarz jej posiniała i zęby zaczęły szczekać z zimna, aż wreszcie uchwycono dogodny moment i wyciągnięto ją na górę. Kiedy już stanęła na pokładzie, drżąca i ociekająca wodą, okazało się, że mimo wysiłków marynarzy miała porządnie stłuczone kolano. W chwilę potem

pojawił się nad burzą Edmund, a po nim wyciągnięto nieszczęsnego Eustachego. Na końcu wdrapał się na pokład złotowłosy chłopiec, zaledwie kilka lat od niej starszy.

– Ka... Ka... Kaspian! – wyjąkała Łucja, gdy tylko złapała oddech. Bo był to Kaspian, młody król, któremu podczas swych ostatnich odwiedzin w Narnii pomogli odzyskać tron. Teraz poznał go i Edmund. Uścisnęli sobie dłonie i poklepalili się po plecach, wielce uradowani.

– A kim jest wasz przyjaciel? – zapytał Kaspian, patrząc na Eustachego z miłym uśmiechem. Ale Eustachy płakał i to o wiele żałośniej, niż miałby prawo płakać chłopiec w jego wieku, któremu w końcu nie stało się nic gorszego od przemoknięcia do suchej nitki. Wśród szlochów słyhać było od czasu do czasu urywane zdania:

– Ja chcę stąd iść... ja chcę wracać... wcale mi się to NIE PODOBA.

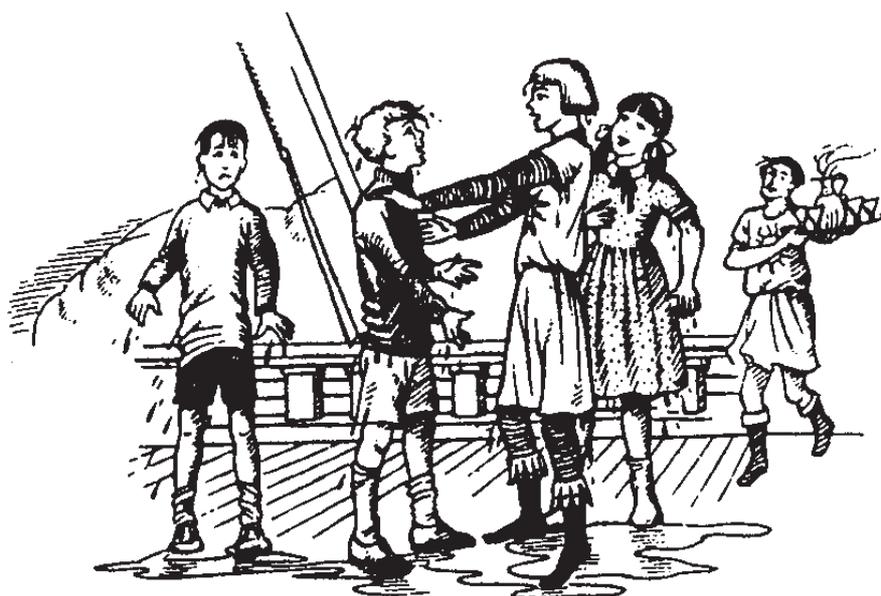
– Chcesz stąd iść? – zapytał Kaspian. – Ale dokąd?

Eustachy podbiegł do burty, jakby się spodziewał zobaczyć ramę obrazu wiszącą nad wzburzonym oceanem, a może i kawałek sypialni Łucji. Ale zobaczył tylko granatowe fale zwieńczone pianistymi grzywami i błękitne niebo stykające się z morzem na widnokręgu. Może i trudno winić go za to, że się załamał. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze.

– Hej, Rynelfie! – zawołał Kaspian do jednego z marynarzy. – Przynieś korzennego wina dla ich

królewskich gości. Musicie się czymś rozgrzać po tej kąpieli.

Nazwał Edmunda i Łucję „ich królewskimi gośćmi”, ponieważ byli kiedyś – wraz z Piotrem i Zuzanną – królami i królowymi Narnii, dawno temu, jeszcze przed jego czasami. Narnijski czas płynie zupełnie inaczej niż nasz. Jeśli się spędzi w Narnii nawet sto lat, powraca się do naszego świata o tej samej godzinie, w której się go opuściło. Jeśli natomiast wróci się do Narnii po tygodniu spędzonym tutaj, może się zda-



rzyć, że minęło już tysiąc narnijskich lat, albo jeden dzień, albo też czas w ogóle nie ruszył z miejsca. Nigdy się tego nie wie, dopóki się nie znajdzie w Narnii. Kiedy ostatnim razem Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja wrócili do Narnii, dla jej mieszkańców było to coś takiego, jakby król Artur wrócił do dzisiejszej Anglii (a są tacy, co twierdzą, że wróci; jeśli chodzi o mnie, to powiem tylko: im prędzej, tym lepiej).

Wrócił Rynelf, niosąc dymiący dzban wina z korzeniami i cztery srebrne kubki. Tego im właśnie było trzeba. Kiedy wysączyli po kubku gorącego płynu, poczuli od razu ciepło w całym ciele. Tylko Eustachy krzywił się, krztusił i pluł, i znowu był chory, i od nowa zaczynał płakać, i prosił, aby mu dostarczono Witaminizowanej Odżywki na Nerwy firmy Plumtree i żeby mu ją rozpuszczono w destylowanej wodzie, i w ogóle, żeby go wysadzono na ląd w najbliższym porcie.



– Wesołego pasażera nam sprowadziłeś, bracie, nie ma co – szepnął Kaspian do Edmunda, chichocząc, ale nim zdążył powiedzieć coś więcej, Eustachy znowu wybuchnął:

– Och! Cóż TO znowu, na miłość boską! Zabierzcie to, zabierzcie to szkaradztwo!

Tym razem usprawiedliwiał go trochę fakt, że mógł być nieco zaskoczony. Z nadbudówki na rufie wyszło coś rzeczywiście dziwnego i powoli się do nich zbliżało. Można by to nazwać – i odpowiadałoby to prawdzie – myszą. Ale była to mysz stojąca na tylnych łapach

i mająca ponad pół metra wysokości. Wokół głowy miała wąską, złotą przepaskę z długim, szkarłatnym piórem. (Futerko myszy było ciemne, prawie czarne, więc efekt był wspaniały.) Pazury lewej łapy spoczywały na rękojeści rapiera, prawie tak długiego jak jej ogon. Podziw budził sposób, w jaki utrzymywała równowagę na kołyszącym się pokładzie, zachowując przy tym dostojność kroku i dworskość manier. Łucja i Edmund rozpoznali tę dziwną istotę natychmiast: był to Ryczypisk, wódz myszy, najwaleczniejszy rycerz pośród wszystkich mówiących zwierząt Narnii. Okrył się on wielką sławą w drugiej bitwie pod Beruną. Łucja miała straszną ochotę (a miała ją zawsze, kiedy go spotykała) pochwycić Ryczypiska w ramiona i mocno do siebie przytulić. Wiedziała jednak, że to niemożliwe; poczułby się głęboko urażony. Przyklękła więc, aby z nim porozmawiać.

Ryczypisk wystawił lewą nogę, cofnął prawą, wykonał głęboki ukłon, ucałował jej rękę, wyprostował się, podkręcił wąsa i powiedział przenikliwym, piskliwym głosem:

– Pokorny sługa waszej królewskiej mości. I króla Edmunda, a jakże. – Tu skłonił się ponownie. – Obecność waszych wysokości była jedyną rzeczą, jakiej nam brakowało w tej wspaniałej przygodzie.

– Och, zabierzcie to stąd – jęknął znowu Eustachy. – Nienawidzę myszy. I nie znoszę tresowanych zwierząt. Są głupie, wulgarne i... i sentymentalne.

– Czy mam rozumieć – powiedział Ryczypisk do Łucji, obrzuciwszy uprzednio Eustachego długim spoj-

rzeniem – że ta wyjątkowo nieuprzejma osoba jest pod opieką waszej królewskiej mości? Bo jeśli nie...

W tym momencie Łucja i Edmund jednocześnie kichnęli.

– Cóż za głupiec ze mnie, żeby was trzymać tutaj w mokrych ubraniach – rzekł Kaspian. – Proszę na dół, zaraz je zmienimy. Naturalnie oddaję ci swoją kajutę, Łucjo, ale obawiam się, że nie mamy na pokładzie damskich strojów. Będziesz musiała wybrać sobie coś z moich rzeczy. Ryczypisku, prowadź i bądź dobrym kompanem.

– Jeśli w grę wchodzi wygoda damy – powiedział Ryczypisk – nawet sprawa honoru musi ustąpić, przynajmniej na jakiś czas – i spojrzał twardo na Eustachego. Ale Kaspian szybko popchnął go do przodu i po chwili Łucja znalazła się w pomieszczeniu rufowym. Było tu cudownie: trzy prostokątne okna, za którymi widać było niebieską, pofalowaną wodę, niskie, wyszcielane ławy z trzech stron stołu, kołysząca się pod sufitem srebrna lampa (po misterności wykonania poznała robotę karłów) i złota płaskorzeźba nad drzwiami przedstawiająca Wielkiego Lwa Aslana. Łucja zdążyła tylko rzucić okiem na to wszystko, bo Kaspian otworzył już drzwi po prawej stronie i powiedział:

– To będzie twoja kajuta. Wezmę tylko coś suchego dla siebie – mówiąc to, szperał w jednej ze skrytek w ścianie – i zostawiam cię, żebyś mogła się przebrać. Mokre rzeczy wyrzucić za drzwi, każę je zabrać do kuchni, aby wyschły.

Łucja poczuła się tak swojsko, jakby mieszkała w kajucie Kaspiana od kilku tygodni. Leniwe kołysanie okrętu nie przeszkadzało jej ani trochę, bo przecież w dawnych czasach, gdy była królową w Narnii, nieraz odbywała dalekie morskie podróże. Kajuta Kaspiana była niewielka, ale bardzo czysta i jasna, z biegnącymi dookoła kolorowymi kasetonami wymalowanymi w ptaki, zwierzęta, szkarłatne smoki i winorośle. Ubrania Kaspiana okazały się na nią za duże, ale w końcu coś dla siebie znalazła. Zwłaszcza jego trzewiki, sandały i długie żeglarskie buty były beznadziejnie wielkie, lecz stwierdziła, że na statku może przecież chodzić boso. Już ubrana popatrzyła przez okno na uciekającą wartko wodę i odetchnęła głęboko. Pomyślała, że znowu rozpoczęły się dla nich cudowne czasy.



Na pokładzie „Wędrowca do Świtu”

NO, WRESZCIE JESTEŚ, ŁUCJO – powiedział Kaspian.
– Czekaliśmy tylko na ciebie. Oto mój kapitan, lord Drinian.

Ciemnowłosa mężczyzna przykląkł na jedno kolano i ucałował jej dłoń. Prócz niego i Kaspiana w pomieszczeniu rufowym byli Ryczypisk i Edmund.

– A gdzie jest Eustachy? – zapytała Łucja.

– W łóżku – odrzekł Edmund. – I nie sądzę, żeby można było coś dla niego zrobić. Kiedy się próbuje być dla niego miłym, jest jeszcze gorzej.

– A my tymczasem – powiedział Kaspian – musimy porozmawiać.

– Święta racja – zgodził się Edmund. – Przede wszystkim na temat czasu. Według naszego czasu minął rok, odkąd rozstaliśmy się tuż przed twoją koronacją. Ile czasu upłynęło w Narnii?

– Dokładnie trzy lata – odrzekł Kaspian.

– Wszystko idzie dobrze? – zapytał Edmund.

– Nie sądzisz chyba, że opuściłbym swoje królestwo i wyruszył na morze, gdyby były jakieś kłopoty – odpowiedział król. – Nie może być lepiej. Nie ma już żadnych niesnasek między Telmarami, karłami,

mówiącymi zwierzętami, faunami i całą resztą. Było trochę trudności z tymi niespokojnymi olbrzymami na granicy, ale ostatniego lata daliśmy im taką nauczkę, że teraz płacą nam daninę. A wyruszając w morze, pozostawiłem jako swego regenta wspaniałą postać, karła Zuchona. Pamiętacie go?

– Kochany Zuchon – powiedziała Łucja. – Jasne, że go pamiętam. Nie mogłeś dokonać lepszego wyboru.

– Wierny jak borsuk, pani, i mężny jak... jak mysz – rzekł Drinian. Chciał powiedzieć „jak lew”, ale w porę zauważył utkwione w sobie oczy Ryczypiska.

– A dokąd właściwie teraz zmierzamy? – zapytał Edmund.

– To dłuższa historia – rzekł Kaspian. – Pamiętacie może, że kiedy byłem dzieckiem, mój wuj, uzurpator Miraz, pozbył się siedmiu przyjaciół mojego ojca (którzy mogli stanąć po mojej stronie), wysyłając ich na zbadanie nieznanych Mórz Wschodnich poza Samotnymi Wyspami.

– Tak, pamiętam – wtrąciła Łucja. – I żaden z nich nigdy już nie wrócił.

– Tak właśnie było. A więc, w dniu mojej koronacji, za aprobatą Aslana, złożyłem przysięgę, że kiedy zaprowadzę pokój w Narnii, wyruszę na trwającą rok i jeden dzień wyprawę poza Samotne Wyspy, by odnaleźć przyjaciół mojego ojca lub pomścić ich śmierć, jeśli to będzie możliwe. Oto imiona tych szlachetnych baronów: Revilian, Bern, Argoz, Mavramorn, Oktezjan, Restimar i... och, ten ostatni, którego imię tak trudno zapamiętać...

– Baron Rup, panie – wtrącił Drinian.

– Rup, Rup, oczywiście – powiedział Kaspian. – Oto mój główny cel wyprawy. Ale Ryczypisk żywi jeszcze inne, bardziej śmiałe nadzieje.

Wszystkie oczy zwróciły się na waleczną mysz.

– Tak śmiało jak duch, który mnie ożywia – rzekł Ryczypisk – choć być może tak małe jak mój wzrost. Otóż, dlaczego nie mielibyśmy dotrzeć do samego wschodniego krańca świata? I co możemy tam zobaczyć? Jeśli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że znajdziemy tam krainę Aslana. Wielki Lew zawsze przybywa ze wschodu, zza morza.

– No wiecie, to jest myśl! – powiedział Edmund zmienionym z wrażenia głosem.

– Ale czy sądzisz – spytała Łucja – że kraina Aslana jest taka... to znaczy... takiego rodzaju, że w ogóle można do niej DOPLYNAĆ?

– Nie wiem, pani – odrzekł Ryczypisk. – Ale racz posłuchać. Kiedy byłem jeszcze w kołysce, leśna boginka, driada, wypowiedziała nade mną takie słowa:

*Gdzie się niebo z wodą spotka,
gdzie się fala robi słodka,
Ryczypisku, bez wątpienia
spelnisz wszystkie swe pragnienia;
tam jest Ostateczny Wschód.*

Nie wiem, co ten wiersz oznacza, ale czar tych słów urzekł mnie na całe życie.

Przez chwilę wszyscy milczeli, aż w końcu Łucja zapytała:

- A gdzie jesteśmy teraz, Kaspianie?
- O tym powie ci lepiej kapitan – odrzekł Kaspian, a Drinian wydobyl mapę i rozłożył ją na stole.
- Oto nasze położenie – powiedział, wskazując palcem. – Mówiąc ściślej, takie było dziś w południe. Po opuszczeniu Ker-Paravelu mieliśmy niezły wiatr i pożeglowaliśmy na północ, do Galmy, dokąd dopłynęliśmy następnego dnia. Tam staliśmy w porcie przez tydzień, ponieważ księżę Galmy urządził wielki turniej na cześć jego królewskiej mości. Król powalił na ziemię wielu rycerzy...
- I sam niejedną raz spadł z konia, Drinianie – przerwał mu Kaspian. – Ślady tego można oglądać do dzisiaj.
- ...Król powalił na ziemię wielu rycerzy – powtórzył Drinian, szczerząc zęby – i wydawało się nam, że księżę byłby bardzo rad, gdyby jego królewska mość poślubił jego córkę, ale nic z tego nie wyszło...
- Miała zęba i piegi – wtrącił Kaspian.
- Biedaczka! – westchnęła Łucja.
- Po opuszczeniu Galmy – ciągnął Drinian – wpadliśmy w sztorm trwający dwa dni, tak że musieliśmy w końcu użyć wiosł, a potem znowu złapaliśmy wiatr i po czterech dniach dopłynęliśmy do Terebintu. Ale król Terebintu wysłał nam ostrzeżenie, abyśmy nie wpływali do portu, bo w mieście panuje zaraza. Okrążyliśmy przylądek i rzuciliśmy kotwicę w małej zatoczce, by nabrać świeżej wody. Musieliśmy tam czekać trzy dni, zanim złapaliśmy południowo-wschodni wiatr i pożeglowaliśmy ku Siedmiu Wyspom. Trzeciego dnia

zaatakował nas piracki okręt (terebincki, sądząc po takielunku), lecz po krótkiej wymianie strzałów z łuków odpłynął, widząc, że jesteśmy dobrze uzbrojeni...

– A powinniśmy go ścigać, zdobyć abordażem, a potem powiesić tych wszystkich szubrawców – wtrącił Ryczypisk.

– ...A po pięciu dniach zobaczyliśmy Muil, która jest, jak wiecie, najdalej na zachód wysuniętą jedną z Siedmiu Wysp. Potem powiosłowaliśmy przez cieśniny i przed zachodem słońca wpłynęliśmy do Redhaven na wyspie Brenn, gdzie przyjęto nas bardzo gościnnie. Tam uzupełniliśmy prowiant i wodę. Sześć dni temu wypłynęliśmy w morze, mając przez cały czas sprzyjający wiatr. Biorąc pod uwagę dobrą szybkość, mam nadzieję zobaczyć Samotne Wyspy pojutrze. Tak więc jesteśmy już na morzu blisko trzydzieści dni i przebyliśmy ponad czterysta lig, czyli tysiąc dwieście mil morskich*.

– A co będzie za Samotnymi Wyspami? – zapytała Łucja.

– Tego nikt nie wie, wasza wysokość – odrzekł Dri-nian. – Może powiedzą nam coś na ten temat mieszkańcy Wysp.

– Za naszych czasów nie potrafili nic powiedzieć – wtrącił Edmund.

– A więc – rzekł Ryczypisk – nasza przygoda znacznie się naprawdę dopiero za Samotnymi Wyspami.

* Liga morska – 5,56 kilometra = 3 mile morskie. Mila morska – 1,852 kilometra – przyp. tłum.

Kaspian zaproponował, że przed kolacją pokaże im statek, ale Łucja poczuła wyrzuty sumienia i powiedziała:

– Muszę pójść i zobaczyć, jak się miewa Eustachy. Dobrze wiecie, że choroba morska to rzecz okropna. Gdybym tylko miała swój cudowny lek, wyleczyłabym go od razu.

– Przecież go masz! – zawołał Kaspian. – Zupełnie o tym zapomniałem. Po waszym odejściu z Narnii uznałem, że jest częścią skarbu królewskiego, więc wybierając się w podróż, zabrałem go ze sobą. Jeśli tylko uważasz, że można go marnować na coś takiego jak morska choroba...

– Wystarczy tylko kropelka – powiedziała Łucja.

Kaspian otworzył jedną ze skrytek w ławie i wyjął z niej przepiękny diamentowy flakonik, który Łucja tak dobrze pamiętała.

– A więc przyjmij z powrotem to, co do ciebie należy, królowo – rzekł Kaspian. Potem wyszli z kajuty na zalany słońcem pokład.

W pokładzie, po obu stronach masztu – od dziobu i od rufy – znajdowały się dwa luki. Oba były otwarte, jak zwykle w czasie dobrej pogody, aby wpuścić do wnętrza światło i świeże powietrze. Kaspian poprowadził ich do jednego z luków. Zeszli po drabinie i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu z ławkami dla wioślarzy, które biegły rzędami wzdłuż obu burt. Przez okrągłe otwory na wiosła sączyło sięienne światło, na suficie migotały słoneczne plamki. Naturalnie okręt Kaspiana nie był tą okropną rzeczą, jaką

jest galera, na której wiosłarzami są niewolnicy. Wiośeł używano tylko podczas sztilu, czyli ciszy morskiej, albo do manewrowania przy brzegu, i wówczas wszyscy (prócz Ryczypiska, który miał za krótkie nogi) wiosłowali kolejno. Wzdłuż burt pozostawiono wolne miejsce, aby wiosłarze mieli gdzie oprzeć nogi, ale cały środek zajmowało obszerne, sięgające aż do stępki zagłębienie, wypełnione najróżniejszym prowiantem: workami mąki, beczkami wody i piwa, baryłkami wieprzowiny, garncami miodu, bukłakami wina, jabłkami, orzechami, serami, sucharami, rzepą, połciami bekonu. Z sufitu – to znaczy ze spodniej strony pokładu – zwieszały się szynki i wieńce cebuli. Wisiały tu też hamaki, w których wypoczywali marynarze oczekujący na swoją wachtę.

Kaspian poprowadził ich w stronę rufy, krocząc po ławkach wiosłarskich (w każdym razie dla niego były to kroki, bo Łucja wykonywała coś pośredniego między krokami a susami, a Ryczypisk musiał posuwać się do przodu długimi skokami). W ten sposób dotarli do ściany działowej na wysokości rufówki. Kaspian otworzył niewielkie drzwiczki i wprowadził ich do pomieszczenia wypełniającego sterówkę pod kajutą rufową. Było tu nisko, a ściany zbiegały się ku sobie przy podłodze. Małych, okrągłych okienek z grubego szkła nigdy się nie otwierało z tej prostej przyczyny, że były już pod linią wody. Kiedy okręt wspinał się i opadał na falach, okienka robiły się to złote – od słońca, to ciemnozielone – od morskiej wody.

– To będzie nasza kajuta, Edmundzie – powiedział Kaspian. – Myślę, że zostawimy koję twemu kuzynowi, a sobie rozwiesimy hamaki.

– Zaklinam waszą królewską mość... – zaczął Drinian, ale Kaspian szybko mu przerwał: – Nie, nie kapitanie, już to ustaliliśmy. Ty i Rins – Rins był zastępcą kapitana, czyli matem – kierujecie statkiem i będziecie mieć mnóstwo spraw wieczorami, kiedy my będziemy sobie śpiewać pieśni i opowiadać stare opowieści. Mu-



sicie mieć rufową kajutę nad nami. Królowi Edmundowi i mnie będzie tu bardzo wygodnie. Ale jak się miewa nasz gość?

Eustachy, bardzo zielony na twarzy, jęknął i zapytał, czy są jakieś oznaki świadczące o tym, że sztorm się kończy.

– O jakim sztormie mówisz? – zapytał zdumiony Kaspian, a Drinian wybuchnął śmiechem.

– Sztorm! – zagrzemiał. – Mój młody panie, trudno sobie wymarzyć lepszą pogodę!

– Kto to taki? – zapytał Eustachy ze złością. – Każcie mu stąd iść. Głowa mi pęka od jego wrzasku.

– Przyniosłam coś, co sprawi, że zaraz poczujesz się lepiej – powiedziała Łucja.

– Och, idźcie sobie wszyscy i zostawcie mnie w spokoju – warknął Eustachy.

Łucja już otworzyła swój flakonik i cała kajuta napełniła się cudownym zapachem. W końcu udało się go namówić, aby przełknął kroplę, i chociaż oznajmił, że to jakieś paskudztwo, po chwili powróciły mu rumieńce. Musiał poczuć się lepiej, bo zamiast dalej narzekać na burzę i swoją głowę, zaczął się domagać wysadzenia na ląd, dodając, że w pierwszym napotkanym porcie „złoży przeciwko nim doniesienie” na ręce brytyjskiego konsula. Rycypisk zapytał, co to jest „doniesienie” i jak się je składa (myśląc, że to jakaś nieznana mu forma wyzwania na pojedynek), na co Eustachy tylko mruknął z pogardą: „Żeby czegoś takiego nie wiedzieć”. W końcu przekonali go z trudem, że właśnie płyną ile wiatru w żaglach do najbliższego znanego im lądu i że odesłanie go teraz do Cambridge (gdzie mieszka wuj Harold) jest równie trudne, jak wysłanie na Księżyc. Nie przestając się dąsać, włożył wreszcie suche ubranie, które mu przyniesiono, i wyszedł za nimi na pokład.

Kaspian pokazał im teraz cały okręt, choć w rzeczy samej widzieli już jego większą część. Weszli na pokład dziobowy i zobaczyli „człowieka na oku”, czy-

li marynarza stojącego na małej półeczce we wnętrzu połączanej szyi smoka i obserwującego morze przez jego otwartą paszczę. Pod pokładem dziobówki była okrętowa kuchnia i kajuty dla żeglarskiej starszyny: bosmana, cieśli i dowódcy łuczników. Pewnie wydaje wam się dziwne umieszczenie kuchni na dziobie, bo sobie wyobrażacie, że dym z jej komina leci na cały pokład. Ale tak byłoby tylko na parowcu, ustawianym zwykle pod wiatr. Na żaglowcu wiatr zawsze wieje od rufy; dym oraz przykre zapachy z kuchni są natychmiast zdmuchiwane na zewnątrz.

Pokazano im także platformę bitewną, czyli marsa, i kiedy się tam wdrapali, aż dech im zapało, tak daleki i maleńki zdawał się pokład z tej wysokości. Wydawało się, że nie ma żadnej szczególnej przyczyny, by trafić



akurat w pokład, a nie w morze, gdyby się nagle spadło. Potem weszli na pokład rufowy, gdzie Rins i jeden z marynarzy trzymali wachtę przy wielkim rumplu, za którym podnosił się połączany ogon smoka z wąską ławeczką biegnącą po wewnętrznej stronie boków. Okręt nosił nazwę „Wędrowiec do Świtu”. Niewiele miał wspólnego z naszymi współczesnymi statkami, ale różnił się też od narnijskich kog, karak i galeonów

z czasów, gdy Łucja i Edmund byli w Narnii monarchami, a Piotr Wielkim Królem, ponieważ później, za panowania przodków Kaspiana, zaniechano w ogóle żeglugi i budowy statków. Kiedy uzurpator Miraz wpadł na pomysł wysłania w morze siedmiu baronów, trzeba było zakupić okręt w Galmie i tam nająć załogę. Kaspian zaczął jednak znowu uczyć Narnijczyków żeglarskiej sztuki, a „Wędrowiec do Świtu” uchodził za najlepszy okręt, jaki dotąd zbudował. Był tak mały, że od masztu do dziobu niewiele już pozostawało miejsca między środkowym lukiem, łodzią okrętową i zagrodą dla kur (Łucja zajęła się ich karmieniem). Ale był piękny jak młoda dama – tak mówili o nim żeglarze – miał świetną linię, czyste kolory, misternie wykonane reje, liny i żagle. Eustachemu nic się oczywiście nie podobało i bez przerwy opowiadał o transatlantykach, motorówkach, samolotach i łodziach podwodnych („Tak jakby ON coś o nich wiedział” – mrucał Edmund), ale pozostała dwójka była „Wędrowcem do Świtu” zachwycona. Kiedy wrócili do sterówki na kolację i popatrzyli na słońce, płonące nisko na zalanym szkarłatem zachodnim niebie, kiedy poczuli smak soli na wargach i drżenie statku, kiedy pomyśleli o nieznanym lądach na wschodniej krawędzi świata – Łucja poczuła się zbyt szczęśliwa, by można to było wyrazić.

Co myślał Eustachy, najlepiej opowiedzieć jego własnymi słowami. Kiedy następnego ranka dostali z powrotem swoje wysuszone ubrania, od razu wyciągnął z kieszeni mały, czarny notes z ołówkiem i zaczął prowadzić dziennik. Notes ten zawsze miał przy sobie

i zapisywał w nim wszystkie stopnie, jakie otrzymywał, bo chociaż żaden przedmiot w szkole nie interesował go sam dla siebie, miał bzika na punkcie stopni i często zaczepiał innych, mówiąc: „Dostałem czwórkę. A co ty dostałeś?” Ale ponieważ nic nie wskazywało na to, że na pokładzie „Wędrowca do Świtu” będzie dostawał jakieś stopnie, zaczął prowadzić dziennik. Oto jego pierwszy zapis:

7 sierpnia. Już od dwudziestu czterech godzin jestem na tej piekielnej łajbie, jeżeli to nie sen. Przez cały czas szaleje potworny sztorm (dzięki Bogu, nie mam morskiej choroby). Olbrzymie fale wlewają się na pokład od dziobu i już wiele razy widziałem, jak przykryły cały statek. Wszyscy udają, że tego nie zauważają. Albo to poza, albo też sprawdza się to, co mówił Harold: tchórze zawsze zamykają oczy na Fakty. To szaleństwo wyprawiać się na morze w tak marnej łupinie. Niewiele większa od łodzi ratunkowej. No i oczywiście absolutnie prymitywna wewnątrz. Nie ma sali klubowej z prawdziwego zdarzenia, nie ma radia, łazienek, leżaków na pokładzie. Wczoraj wieczorem pokazano nam cały statek i robiło mi się niedobrze, gdy Kaspian pysznił się tą swoją dziecienną łódką, jakby to była „Queen Elizabeth”. Próbowiałem mu opowiedzieć, jak wygląda prawdziwy statek, ale jest na to za tępy. E. i Ł. OCZYWIŚCIE mnie nie poparli. Przypuszczam, że taki dzieciak jak Ł. nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a E. podlizuje się K., jak zresztą wszyscy na pokładzie. Nazywają go królem. Powiedziałem mu, że jestem republikaninem, a on spytał, co to znaczy! Sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie miał o niczym pojęcia. Muszę

zaznaczyć, że umieszczono mnie w najgorszej kajucie, właściwie w czymś w rodzaju lochu. Łucja dostała cały pokój na górze tylko dla siebie, zupełnie niezły w porównaniu z resztą. K. mówi, że to dlatego, że jest dziewczynką. Próbowałem mu wytłumaczyć, że – jak zawsze mówi Alberta – tego rodzaju postępowanie w rzeczywistości poniża dziewczynki, ale i na to był za tępy. Mógłby jednak zwrócić uwagę na to, że rozchoruję się, jeśli będą mnie dłużej trzymać w tej dziurze. E. mówi, że nie powinniśmy narzekać, bo sam K. dzieli ją z nami, oddawszy swoją kabinę Ł. Tak jakby to jeszcze bardziej nie pogarszało sprawy: jest przecież ciasniej! O mały włos zapomniałbym napisać, że jest tu takie coś w rodzaju myszy. Zachowuje się wobec każdego tak bezczelnie, że trudno to sobie w ogóle wyobrazić. Inni mogą jej na to pozwalać, jeśli tylko mają ochotę, ale jeśli chodzi o mnie, to ukreczę jej ten śliczny ogon, jak ze mną zaczniesz. Jedzenie jest okropne.

Do pierwszego poważnego starcia między Eustachym a Ryczypiskiem doszło wcześniej, niż można się było spodziewać. Następnego dnia, gdy wszyscy pozostali siedzieli już przy stole, czekając na obiad (na morzu zawsze ma się ogromny apetyt), Eustachy wpadł do kajuty, trzymając się za rękę i wrzeszcząc:

– Ten mały dzikus o mało mnie nie zabił! Żądam stanowczo, aby trzymano go pod strażą! Mogę wszcząć postępowanie przeciw tobie, Kaspianie. Mogę ci kazać zniszczyć to szkaradztwo.

W tej samej chwili pojawił się Ryczypisk. W rękę trzymał rapier, wąsy miał dziko nastroszone, ale nie zapomniał o dobrych manierach.

– Proszę wszystkich obecnych o wybaczenie, a szczególnie jej królewską mość – tu skłonił się przed Łucją.
– Gdybym tylko wiedział, że właśnie tu poszuka schronienia, poczekałbym na bardziej stosowny czas, by mu dać nauczkę.

– Co się stało, do licha? – zapytał Edmund.

A oto, co się naprawdę wydarzyło. Ryczypisk, któremu zawsze się wydawało, że okręt nie płynie dostatecznie szybko, lubił siadywać na samym dziobie, tuż za głową smoka, patrząc w stronę wschodniego horyzontu i swoim nieco skrzekliwym głosem śpiewając



cicho słowa, jakie kiedyś wypowiedziała nad nim driadą. Choćby okrętem nie wiem jak kołysało, nigdy się niczego nie trzymał, zachowując doskonałą równowagę prawdopodobnie dzięki swemu długiemu ogonowi, który zwisał na pokład między słupkami balustrady. Cała załoga przyzwyczała się już do tego, a marynarze trzymający wachtę na oku bardzo ten zwyczaj polubili, bo mieli z kim porozmawiać. Nigdy się nie wyjaśniło, w jakim celu Eustachy – zataczając się, potykając

i czołgając, bo nie nauczył się jeszcze marynarskiego kroku – dostał się aż na pokład dziobowy. Być może miał nadzieję zobaczyć jakiś ład, a może chciał zwędzić coś z kuchni przez okno. Tak czy owak, jak tylko zobaczył długi ogon zwisający z balustrady – może to i był widok kuszący – pomyślał, że byłoby wspaniale złapać za ten ogon, wywinąć biedną mysz młynka raz czy dwa, a potem uciec i pękać ze śmiechu. Z początku wszystko szło jak z płatka. Mysz nie była cięższa od dużego kota. Eustachy wyciągnął ją za ogon zza balu-



strady i uradowany patrzył, jak głupio – według niego – wygląda z rozłożonymi na wszystkie strony łapami i otwartym pyszczkiem. Na jego nieszczęście Ryczypisk, który nieraz bywał w gorszych opałach, nigdy nie tracił choćby na chwilę ani głowy, ani swoich umiejętności. Niełatwo wyciągnąć rapier z pochwy, kiedy się jest okręcanym w powietrzu za ogon, ale Ryczypisk to potrafił. Eustachy poczuł dwa bolesne ukłucia w rękę i natychmiast puścił ogon myszy. W następnej chwili Ryczypisk odbił się od pokładu jak piłka i już stał na

tylnych łapach, patrząc na niego groźnie, a koniec długiego, błyszczącego i ostrego przedmiotu przypominającego szpikulec drgał niebezpiecznie o cal od brzucha Eustachego. (Narnijskie myszy nie przestrzegają zakazu ciosów poniżej pasa, bo trudno by im było w ogóle sięgnąć wyżej.)

– Przestań – wybełkotał Eustachy. – Idź sobie. Zabierz to. To niebezpieczne. Przestań, mówię. Powiem Kaspianowi. Każę cię związać. Każę ci założyć kaganiec.

– Dlaczego nie sięgasz po swój miecz, podły tchórz! – zapiszczał Ryczypisk. – Dobądź miecza i walcz albo cię wyplazuję na czarno i niebiesko!

– Nie mam broni – odpowiedział Eustachy. – Jestem pacyfistą. Nie wierzę, by walka miała jakiś sens.

– Czy mam rozumieć – wycedził Ryczypisk, opuszczając na chwilę rapier – że nie zamierzasz udzielić mi satysfakcji?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odrzekł Eustachy, oglądając swoją zranioną rękę. – Jeżeli nie znasz się na żartach, to w ogóle nie mam zamiaru zawracać sobie głowy twoją osobą.

– A więc masz! – zawołał Ryczypisk. – A to... aby cię nauczyć dobrych manier! ... i szacunku wobec rycerza!... i dla myszy!... i dla ogona myszy!...

I za każdym słowem uderzał go płazem rapiera, który był z hartowanej przez karłów stali, cienki i giętki jak brzoza witka. Eustachy chodził do szkoły, w której – rzecz jasna – nie stosowano kary cielesnej, więc to przeżycie było dla niego całkowitą nowością. I oto,

dlaczego, chociaż nie nauczył się jeszcze marynarskiego kroku, w ciągu niecałej minuty zdążył zbiec z pokładu dziobowego, pokonać całą długość głównego pokładu i wpaść do kajuty rufowej, przez całą drogę zawzięcie ścigany przez Ryczypiska. Miał przy tym wrażenie, że rapier jest rozżarzony do czerwoności.

Nie było większych trudności w załagodzeniu całej sprawy, gdy tylko Eustachy przekonał się, że wszyscy potraktowali pomysł pojedynku zupełnie poważnie, i gdy usłyszał, że Kaspian chce mu pożyczyć swój miecz, a Drinian i Edmund rozprawiają już nad tym, jak zmniejszyć wyraźną przewagę wzrostu Eustache-go. Nadąsany przeprosił w końcu Ryczypiska i poszedł z Łucją przemyć i zabandażować rękę. Potem uciekł do swojej koi, pamiętając o tym, by położyć się nie na plecach, lecz na boku.